ROK 59 WE LWOWIE, 1 LIPIEC 1937 R. Nr. 8

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Sprawozdanie z obrad Walnego Zgromadzenia Członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w dniu 20 czerwca 1937 r.

Dzięki uprzejmości Dyrekcji Tow. Kred. Ziem., Zgromadzenie to odbyło się w gmachu T. K. Z. Zebrało się około 60 Towarzyszy z pod znaku św. Huberta.

Obradom przewodniczył Prezes Juliusz hr. Bielski, który do Prezydjum powołał wiceprezesa Wojciecha hr. Gołuchowskiego, dr. Alfreda Sandera oraz Adama hr. Starzeńskiego, Prezesa Oddziału Krakowskiego.

Prezes powitał Naczelnika Wydziału inż. Bronisława Welczera, jako reprezentanta Pana Wojewody lwowskiego, który osobiście nie mógł przybyć z powodu ważnych spraw swego urzędu, Naczelnika Wydziału lasowego inż. Borka, Adama hr. Starzeńskiego i prof. Dr. Szymona Wierdaka, jako reprezentantów P. R. O. P., tudzież inż. Wasilewskiego, jako reprezentanta Polskiego Towarzystwa leśnego.

Następnie Prezes poświęcił serdeczną wzmiankę tym, którzy przez śmierć opuścili nasze szeregi; byli nimi: Alfred Kutschera, Kazimierz ks. Czartoryski, Tomisław Jędrzejowicz, Wilhelm Jan Wychera, Józef Wagner, dr. Walerian Madejewski, Feliks Orzelski, Stanisław Kisielewski, Tadeusz Horoszkiewicz i w ostatnich dniach zmarły, śp. Albert Mniszek, długoletni redaktor „Łowca“ i zasłużony wiceprezes Towarzystwa.

Obecni przez powstanie z miejsc, uczcili pamięć Zmarłych.

Prezes zaznaczył dalej, że urządzona w jesieni r. z. Wystawa Łowiecka z racji 60-lecia Towarzystwa, udała się doskonale. Myśliwi z całej Polski wystawili na niej swe trofea, wśród których wyróżniły się specjalnie parostki sarnie. Wybitni myśliwi polscy i zagraniczni wyrażali swe pełne uznanie z powodu ilości, jakości i rozmieszczenia eksponatów. Powodzenie tej wystawy w dużej mierze, należy zawdzięczać energji i pracy inż. Tadeusza Sroczyńskiego, za co Mu Prezes wyraża pełne uznanie i gorące podziękowanie.

Dzięki życzliwemu ustosunkowaniu się Prezesa Związku gen. Sosnkowskiego do M. T. Ł., nowo uchwalony statut P. Z. Ł. zawiera § 71., który naszemu Towarzystwu daje autonomię, zapewniającą mu do pewnego stopnia jego dawne stanowisko. W łączności z tym będzie konieczną zmiana statutu M. T. Ł. i dostosowanie go do statutu P. Z. Ł. Praca nad zmianą nowego statutu jest w pełnym toku, lecz nie jest to sprawa łatwa i prosta i wymaga głębokiego zastanowienia.

Prezes zwrócił się do nowomianowanych Łowczych powiatowych z uwagą, że muszą obecnie intenzywnie pracować dla dobra łowiectwa, a jeżeli niektórzy nie czują się może na siłach aby podołać tej pracy, to lepiej by złożyli zaszczytne godności i by pracę podjęły inne ręce.

Prezes wraz z Olgierdem ks. Czartoryskim i innymi reprezentantami Polski był w Pradze i wziął udział w obradach komisji Międzynarodowej Rady Łowieckiej, gdzie sformułowano sposoby oceniania trofeów myśliwskich.

Prezes zwrócił się też z apelem do wszystkich myśliwych, by najliczniej zgłaszali eksponaty na wszechświatową wystawę łowiecką w Berlinie.

Obecny rok sprawozdawczy przysporzył z powodów reorganizacji wiele pracy naszemu biuru, które jest stale nią przeciążone.

Prezes dodał, że dr. Sander, honorowy Członek Towarzystwa, który w r. 1935 nie przyjął ofiarowanej mu wówczas na dalszą kadencję godności wiceprezesa, dotrzymuje jednak stale danej wtedy obietnicy utrzymywania kontaktu z Towarzystwem i jego biurem, bo się zajmuje gorąco naszymi sprawami, udzielając nie tylko swych cennych wskazówek, lecz i swej osobistej pracy, szczególnie w sprawach związanych z reorganizacją Towarzystwa. Prezes wyraził Mu za to imieniem Towarzystwa gorące podziękowanie.

Na wniosek prof. dr. Adama Sołowija zaniechano odczytywania protokołu z ostatniego Walnego Zgromadzenia, jako zamieszczonego w „Łowcu“.

Dr. Sander, po udzieleniu mu głosu przypomiał, że przez lat 11 od roku 1935 wstecz było tak, że po zagajeniu Zgromadzenia przez Pana Prezesa, zabierając głos jako wówczas urzędujący wiceprezes oznajmiał najczęściej, że do sprawozdania wydrukowanego w „Łowcu“, a przez Pana Prezesa uzupełnionego, nie ma nic dodać lub tylko niektóre szczegóły może uzupełnić, że jednak jest gotów na wszelkie zapytania dać wyjaśnienia.

Zdarzyło się tak, że i w tym roku, mimo iż formalnie w Wydziale nie zasiada, może wyjaśnieniami służyć, bo zapraszany na posiedzenia Wydziału i bywając od czasu do czasu w biurze i interesując się sprawami Towarzystwa jest o ich biegu i stanie poinformowany.

Sprawozdanie z czynności Wydziału wypadło lakonicznie, ale inaczej być nie mogło, gdyż poza udałą wystawą w roku 1936 i poza absorbującą wszystkie siły biurowe pracą organizacyjną na zasadzie nowego statutu Związku, nic godnego zaznaczenia w tym okresie się nie wydarzyło.

Wiadomo, żeśmy byli przeciwni organizacji, która ma pomieścić w ramach jednego Towarzystwa wszystkich myśliwych Polski, a to ze względów zasadniczych i praktycznych, szczególnie jednak z troski o byt naszej własnej organizacji, naszego od 60 lat istniejącego Towarzystwa, bo reforma tak głęboko sięgająca była, a nawet jest jeszcze, mimo lepszych już dziś horoskopów, niebezpieczną dla podstaw finansowych, na których się M. T. Ł. dotąd opierało.

Musieliśmy bowiem wprowadzić wkladkę taką samą, jaką wprowadził statut Związku, a wkładką tą podzielić się 50 proc. ze Związkiem, zaś prenumeratę „Łowca" oddzielić od członkostwa w M. T. Ł. i P. Z. Ł.

Skoro jednak przez zatwierdzenie statutu Związku stanęliśmy wobec faktu dokonanego, musieliśmy się z nim pogodzić i opierając się na §. 71. statutu, pójść całą parą w duchu i kierunku nowej organizacji, strzegąc tylko pilnie wyjątkowo nam zastrzeżonej autonomii.

Nasze dzisiejsze Walne Zgromadzenie odbywa się jeszcze na zasadach dotychczasowego naszego statutu, z czego wynika, że każdy z Panów tu obecnych ma głos rostrzygający. Niemniej wiemy, że wiele Walnych Zgromadzeń powiatowych wybrało już i przysłało na dzisiejsze zgromadzenie swych delegatów, jakoby na Walne Zgromadzenie Oddziałowe. Stało się to jednak dobrze, gdyż to świadczy, że podjęta praca organizacyjna wydaje już owoce i dlatego prosimy, by na „liście obecnych", która w tej chwili w kurs puszczoną została, Panowie Delegaci swój ten charakter zaznaczyli przy dodaniu, który powiat każdy z nich reprezentuje.

Praca organizacyjna rozwija się pomyślnie. Cały szereg powiatów odbył już Walne zgromadzenia konstytuujące i wybrał powiatowe rady łowieckie, wiele powiatów zwołanie takich zgromadzeń w najbliższym czasie już zapowiedziało. Wszystko zależy od energii i chęci do pracy mianowanych Panów Łowczych i Podłowczych.

Z organizacją spieszyć się należy, bo chociaż ona nie tylko u nas, lecz i w innych częściach Państwa nie jest jeszcze ukończoną, Związek podejmuje już pracę, że tak powiemy, nową, choć oczywiście statutem przewidzianą, a mianowicie organizację statystyki łowieckiej. Nie możemy taić, że rzecz ta przysporzy wiele pracy i panom Łowczym i naszemu biuru, nie możemy się jednak od nich uchylać, gdyż dobra statystyka jest z wielu względów konieczną.

Nowy statut Związku, jak każda rzecz nowa, wykazuje już dziś pewne braki, które notujemy, by je na Walnym Zgromadzeniu Związku podnieść.

Obawiamy się np., że niepodzielność wkładki 10 złotowej bez względu na to, w której części roku kalendarzowego do Związku się przystępuje spowoduje w drugiej połowie roku abstynencję w przystępowaniu do Związku. Zaradzić temu można, przyjmując w tej drugiej połowie roku takich „malkontentów", narazie w charakterze członków nadzwyczajnych, a przemieniając ich w członków zwyczajnych dopiero od 1. stycznia 1938 r.

Poważne też zastrzeżenia budzi też zapowiedź Związku, że legitymacje przezeń wydane, będą ważne tylko na jeden rok kalendarzowy. Taka coroczna wymiana legitymacji przysporzy dużo niepotrzebnej pracy biurom Oddziałów, a nadto pociągnie za sobą znaczny wydatek na portoria pocztowe, a wszak wydane na to kwoty, możnaby użyć na cele bardziej użyteczne.

Odpowiadając na zapytania inż. Stanisława Burzyńskiego i innych Członków Walnego zebrania wyjaśnił dr. Sander, że nic nie stoi na przeszkodzie, by ilość podłowczych była zwiększona w zależności od potrzeb lokalnych i że Towarzystwa chcące należyć do M. T. Ł., a tym samym do P. Z. Ł., muszą spełnić ten warunek, by wszyscy jego członkowie byli co najmniej nadzwyczajnymi członkami P. Z. Ł. Towarzystwa takie, mają jednak w Walnych Zgromadzeniach Powiatowych tylko taką ilość głosów, ilu mają członków zwyczajnych. Wkładka 10 złotowa jest jedną i tą samą dla M. T. Ł. i P. Z. Ł., z wkładki tej M. T. Ł. odprowadza Związkowi 50 proc., a na odwrót Związek uznaje M. T. Ł. w takim procencie, jeżeli członek M. T. Ł. przypadkowo tam prześle wkładkę. Prenumerata „Łowca" musiała być oddzieloną od uczestnictwa w M. T. Ł. i w Związku; wynosi ona 12 zł. rocznie i może być płaconą kwartalnie.

Nie jest ona wobec tego przymusową dla członków, jest jednak ich moralnym obowiązkiem, gdyż tylko w ten sposób pozostawać mogą w stałym kontakcie z Towarzystwem i z organizacją myśliwską, a nadto właśnie przez prenumeratę „Łowca" wspierają walnie M. T. Ł. skoro ono obniżoną wkładką czystą musi się dzielić w tak wysokim procencie ze Związkiem.

Następnie inż. Zbigniew Sander omówił zamknięcie rachunkowe po dzień 31. XII. 1936 r. zaznaczając, że wynik finansowy roku 1936 zamyka się wprawdzie stratą w kwocie 1.346.22 zł., ale odpowiedzialność za tę stratę ponoszą lata poprzednie, za które ubiegły rok kalendarzowy „zapłacił" zaległości w kwocie 1.349.44 zł.

Uprzednie bilanse zestawiano bowiem bez uwzględnienia w stanie biernym zaległości i w ten sposób wykazywano fikcyjne zyski, podczas gdy, faktycznie zaległości wzrastały. Bilans zestawiony za rok 1936 uwzględnia wszelkie wierzytelności z dnia 31. XII. 1936 i przedstawia faktyczny stan finansowy Towarzystwa.

W stanie czynnym figuruje kwota 1.450 zł., reprezentująca wartość urządzenia biurowego. Zgodnie z przyjętym w stowarzyszeniach zwyczajem, należałoby tę pozycję zredukować do symbolicznej wartości 1.— zł. drogą odpisu z funduszu rezerwowego.

Kończąc sprawozdanie finansowe, mowca postawił wniosek o pokrycie straty finansowej z funduszu rezerwowego.

Wniosek powyższy jednomyślnie uchwalono.

Inż. Sander przedstawił też preliminarz budżetowy na rok 1937., tak jak został wydrukowany w „Łowcu“, zaznaczając jednak, że tego preliminarza nie układał.

Walne Zgromadzenie na wniosek P. L. Skrzypka, członka komisji rewizyjnej, udzieliło Wydziałowi absolutorium z rachunków i czynności.

Przy punkcie „wybory uzupełniające“ wiceprezes Wojciech hr. Gołuchowski wniósł rezygnację z piastowanej godności, motywując swój ten krok wyczerpującą pracą w Senacie R. P. i w innych instytucjach społecznych, co mu nie pozwala zajmować się sprawami M. T. Ł., a nawet brać udział w posiedzeniach jego Wydziału.

Walne Zgromadzenie wchodząc w intencje wiceprezesa Wojciecha hr. Gołuchowskiego i uznając naprowadzone przez niego powody — rezygnację przyjęło, wyrażając Mu podziękowanie za dotychczasową współpracę.

W tym miejscu Prezes zarządził 5 minutową przerwę celem porozumienia się członków Walnego Zgromadzenia, co do mających się przedstawić kandydatów.

Po przerwie zabrał głos dr. Janusz Trzcieniecki i zaproponował, by w miejsce Wojciecha hr. Gołuchowskiego i w miejsce ś. p. Alberta Mniszka wybrać wiceprezesami dr. Franciszka Piechowskiego i inż. Tadeusza Sroczyńskiego. Poddany pod głosowanie wniosek, przeszedł jednogłośnie.

Następnie Pan Trzcieniecki zaproponował, by w miejsce dr. Stefana Gajewskiego, którego rezygnację z ważnych powodów przyjął był Wydział, a obecnie Walne Zgromadzenie, a dalej w miejsce dr. Piechowskiego i inż. Sroczyńskiego wybranych wiceprezesami, a wreszcie w miejsce ustępujących z tytułu starszeństwa dr. Jerzego Rosienkiewicza i dr. Witolda Ziembickiego, wybrać członkami Wydziału: ponownie dwóch wymienionych ostatnio, a nadto Juliusza Kuryłowicza, dr. Ksawerego Obmińskiego i Aleksandra hr. Zaleskiego. Wniosek ten poddany pod głosowanie, przeszedł jednogłośnie.

Następnie Pan Trzcieniecki zaproponował by, w miejsce pp. dr. Obmińskiego i hr. Zaleskiego, dopiero co wybranych członkami Wydziału, a wreszcie w miejsce ustępującego z tytułu starszeństwa wyboru Camilla Perini'ego, wybrać zastępcami członków Wydziału Leona Krzeczunowicza, Stanisława Wiktora Orskiego i Stanisława hr. Tyszkiewicza.

I ten wniosek uchwalono jednogłośnie.

Wobec tego wyniku wyborów skład Wydziału na rok 1937/38 jest następujący:

Prezes: Juliusz hr. Bielski (1935);

Wiceprezesi: Andrzej ks. Lubomirski (1935), dr. Franciszek Piechowski (1937), inż. Tadeusz Sroczyński (1937) i Adam hr. Starzeński.

Członkowie Wydziału: Zygmunt Gronziewicz (1935), Stanisław Jaśkiewicz (1936), Juliusz Kuryłowicz (1937), gen. Walery Marjański (1936), dr. Ksawery Obmiński (1937), Stanisław Pieńczykowski (1936), dr. Jerzy Rosienkiewicz (1937), dr. Edward Skowroński (1935), dr. Adam Sołowij (1936), inż. Bronisław Welczer (1935), Aleksander hr. Zaleski (1937) i dr. Witołd Ziembicki (1937).

Zastępcy: Leon Krzeczunowicz (1937), Stanisław Longschamps (1935), Stanisław Wiktor Orski (1937), Włodzimierz Puchalski (1936), inż. Zbigniew Sander (1936), Stanisław hr. Tyszkiewicz (1937).

Przy punkcie „wniosków“ uchwalono rezolucję postawioną przez Stanisława Orskiego, aby uprosić Prezesa, by jako wiceprezes Międzynarodowej Rady Łowieckiej, na najbliższej sesji tej Rady poruszył konieczność zaprowadzenia ochrony niedźwiedzia w Czechosłowacji, gdyż dzisiaj stan rzeczy jest taki, iż, podczas, gdy u nas niedźwiedź doznaje zupełnej ochrony, w Czechosłowacji nie ma on jej wcale, a przecież niedźwiedzie w Karpatach są niejako wspólną własnością myśliwych tych dwu państw, na tej linii ze sobą graniczących.

Drugi wniosek tegoż wnioskodawcy, by M. T. Ł. postarało się u właściwych Władz, aby myśliwym zagranicznym zezwolono na przewóz, względnie przekazywanie większej ilości pieniędzy, celem umożliwienia im polowania w Polsce — uchwalono z poprawką dr. Sandera, że sprawą tą, jako dotyczącą ogólnych stosunków łowieckich, należy zainteresować P. Z. Ł., a to tym bardziej, że sprawa ta była już z początkiem br. poruszoną w piśmie, wystosowanym do nas przez dr. Janusza Trzcienieckiego, a przez nas natychmiast do Związku skierowanym.

P. Konopka, jako delegat powiatu rzeszowskiego, zwrócił się do Redakcji „Łowca“, aby w „Łowcu“ nie umieszczać artykułów zanadto naukowych, a zbyt odległych od prawdziwego łowiectwa, a natomiast umieszczać aktualne artykuły myśliwskie.

Na to odpowiedział dr. Sander, że zaszczycony przez Wydział powierzeniem mu redagowania „Łowca“, którą funkcję przyjął z obawą czy jej sprosta w porównaniu z tak wybitnym, długoletnim redaktorem, jakim był śp. Albert Mniszek, będzie się oczywiście starał, wraz z wybranym Komitetem redakcyjnym „Łowca“ utrzymać w stanie aktualności, zwraca jednak uwagę, że jeżeli może czasem tak nie było, to winni temu są sami członkowie Towarzystwa i czytelnicy „Łowca“, bo go mało wspierają swymi artykułami i korespondencjami. Łamy „Łowca“ są otwarte dla wszystkich, a przecie prawie każdy coś ciekawego swym kolegom - myśliwym opowiedzieć może. Szczególnie spotkania z dzikami, których jest jeszcze u nas dużo, są dobrym tematem, bo prawie każde spotkanie z tym zwierzem ma inne ramy, inną scenerję, inny przebieg i rezultat. Przed

wojną była w „Łowcu“ stała rubryka pt.: „Mozaika dzicza“. Możnaby tę rubrykę wznowić.

Na tym zakończono 3-godzinne obrady, a Prezes zamknął zebranie, dziękując wszystkim obecnym za udział w nim.

Inż. WALERY MARYAŃSKI

No! Nareszcie!

Motto:
Ovomaltina! Ovomaltina!
Ovomaltinę trzeba pilnie jeść!
(Na nutę znanego gawota Cervenki)

Zawody strzelania do rzutków Państw. Wytwórni Prochu Pionki w dniach 16 i 17 maja 1937.

Dziwnie ospali i gnuśni są ci myśliwi i strzelcy z Małopolski, gdy chodzi o udział w zawodach strzeleckich. Gdy żyła jeszcze tradycja premjowych strzelań M. T. Ł. we Lwowie w pierwszych latach po wojnie — to dożyliśmy byli kilka konkursów na dawną miarę, gdy to od wczesnego ranka do późnego wieczora grzmiała odgłosem strzałów nasza kleparowska strzelnica, niby na poważnie zagrożonym odcinku.

Jednak już w najbliższych latach opanowało w tym kierunku jakieś dziwne zobojętnienie szczególnie koła naszych młodszych strzelców i doszło wkrótce do tego, że ilość zgłoszonych zawodników malała z roku na rok, — aż w końcu „zawody nie mogły się odbyć z powodu braku zgłoszeń i uczestników“! Smutny biuletyn!

Wymawiano się kryzysem, drożyzną amunicji, brakiem z tego powodu możności treningu itp., a w rzeczywistości był to tylko jakiś dziwny i trudny do wytłómaczenia brak zainteresowania. A przecież nie brak u nas w Małopolsce istotnie doskonałych strzelców, którzy mają wszelkie szanse do zajęcia w konkursach myśliwskiego strzelania — czołowych miejsc.

Nie było o wiele lepiej w innych stronach Polski. Od czasu do czasu jakieś „psztykanie“ z małokalibrówki o P. O. S., jakieś strzelanie z karabinów P. W., ale wszystko to bez zapału! Wszędzie brak zainteresowania!

A przecież sądzić by należało, przynajmniej z ilości kart łowieckich, że mamy wielu myśliwych; sądzić by należało, że kto chce uprawiać polowanie wedle zasad etyki łowieckiej, ten powinien umieć strzelać, by zwierzyny nie kaleczyć, — a nie dopiero na zwierzynie uczyć się strzelać. Jednak każdy taki „szamorodner“ czuł się urodzonym Tellem lub Buffalo Billem... i „paskudził“ grubym śrutem lub osławionymi loftkami na wszystkie odległości do wszystkiego, co ma racice, skoki, lub pióra! Ani piękne, ani myśliwskie — było takie strzelanie!

Zaczęły się więc w prasie naszej odzywać głosy, że tak dalej iść nie może i wówczas P. W. P. Pionki postawiła sobie za zadanie wskrzesić piękny i dla myśliwego tak pożyteczny sport, strzelania do rzutków. Podkreślam słowo pożyteczny, bo tu dopiero nabiera strzelec podświadomego wyczucia, na jaką odległość strzelać śrutem może, ile „zakładać“ powinien, kiedy dobrze, a kiedy źle strzelił itp. Taki, w tym kierunku „uświadomiony“ myśliwy, może — o ile go jakiś amok mordowania zwierzyny nie opanowuje — uprawiać strzelanie i zabijanie zwierzyny w sposób zgodny z zasadami łowiectwa.

I nie szczędziła P. W. P. Pionki ani trudu w kierunku organizacji, ani materialnego poparcia, dając nawet gratis amunicję i to „ad libitum“ i uzyskując też dla zawodników 66 proc. zniżkę kolejową.

Tak przyszły do skutku: „I. Ogólnopolskie Zawody w Strzelanniu do Rzutków“ w r. 1935 w Radomiu. Trzeba przyznać, że choć strzelnica była zaimprowizowana i wszystko od a — z musiało być na czas zrobione — zawody te wypadły bardzo dobrze. Brało w nich udział 58 zawodnników i to ze wszystkich stron Polski. Dawało się wyczuć ogólnne zainteresowanie tym pięknym sportem.

Jedynie Małopolska, ta ojczyzna Marmarossów, Preków, Mniszków, Pieńczykowskich i innych znakomitych strzelców-myśliwych... świeciła nieobecnością, bo prócz mnie i p. Jahody z Krakowa — nie było nikogo.

Nadszedł rok 1936. P. W. P. Pionki, idąc konsekwentnie po raz wytkniętej linji, urządziła: „II. Ogólnopolskie Zaw. w Strzel. do Rzutków“, tym razem w samych Pionkach i to ofiarując zawodnikom jeszcze lepsze warunki, bo amunicję gratis i „ad libitum“, 66% zniżkę kolejową, możność treningu w przeddzień zawodów, — a nawet możność noclegu. Zachęceni bardzo licznymi i b. wartościowymi nagrodami, a także tak ze wszech miar ułatwionymi warunkami, zjechali się strzelcy i myśliwi jeszcze liczniej z całej Polski — jedynie Małopolskę reprezentowałem... tylko ja jeden!

Tu już wymówek na kryzys, na brak kosztownej amunicji itp. nie było! Wylazła, jak szydło z worka, naga prawda: indolencja i brak zainteresowania.

Nadszedł rok 1937.

P. W. P. Pionki urządziły znowu analogiczne zawody — tym razem w Warszawie na Stadjonie Szczęśliwice. Były to: „III. Ogólnopolskie Zaw. w Strzel. do Rzutków“.

Tej strzelnicy w Szczęśliwicach, muszę poświęcić słów kilka ze względu na jej istotnie międzynarodową skalę, na jaką jest urządzona. Zbudował ją P. Z. Ł., wzorując się i posługując planem strzelnicy rzutkowej w Wannsee pod Berlinem, znanej z tego, że jakkolwiek urządzona z największym komfortem — to jednak celowo stawia strzelca przed możliwie trudnymi zadaniami.

Strzelnica na Stadjonie Szczęśliwice ma 5 stanowisk — strzela się zaś „rundami“ (zespołami) po 6 zawodników, przy czem 6. zawodnik dołącza

do „rundy", wstępując na opróżnione przez 1. strzelca stanowisko; po każdym rzutku zmieniają strzelcy stanowiska, przesuwając się o jedno dalej.

Każdy uczestnik obowiązany był strzelić w jednym dniu do 100 rzutków.

Strzelano serjami po 25 rzutków na każdego strzelca w danej „rundzie", tj. 25—50 strzałów na strzelca.

Przestrzelanie programu szło b. sprawnie; na jedną „rundę" wypadało 10—12 minut, a był jeden tak dzielny zespół, że ukończył „rundę" w 9 i pół minuty.

Przechodzę do dalszych, b. ciekawych szczegółów, tyczących się urządzenia strzelnicy.

Przed każdem stanowiskiem jest po 3 maszyny systemu „Grelco", z których jedna wyrzuca talerzyki przed siebie, druga na lewo, trzecia na prawo; każda może być ustawiona pod dowolną elewacją. Maszyny wyrzucają krążki z tak wielką szybkością, jakiej dotąd na żadnej ani krajowej, ani zagranicznej strzelnicy nie widziałem. Każdą maszynę obsługuje jeden człowiek, a maszyny są wmontowane w tak głębokim schronie, że zanim rzutek ukaże się oczom strzelca, uleci już około 50x i to stanowi jedną z n a j w i ę k s z y c h trudności tej strzelnicy; trzeba się dyabło ze strzelaniem spieszyć, bo po 70 krokach nie wiele jest widoków rozbicia talerzyka śrutem Nr. 6 (tj. 2.5 m/m) lub Nr. 7. (tj. 2.25 m/m).

Wyrzut krążka z którejkolwiek maszyny uskutecznia z podziemnego schronu, tzw. „centrali", która znajduje się tuż przy trybunie sędziego — jeden człowiek; ten strzelca absolutnie nie widzi i tylko słyszy jego komendę „daj"! — po której pociąga dotyczącą linewkę i krążek wylatuje.

Aby wyeliminować jakąś choćby przypadkową „protekcję" i zagwarantować każdemu strzelcowi j e d n a k o w ą ilość trudnych wzgl. łatwych krążków, — ma obsługujący w „centrali" rodzaj „partytury", wedle której aktywuje maszyny w pewnym, z góry ustalonym porządku i przez to ma każdy strzelec zagwarantowaną j e d n a k o w ą ilość „świec" i „szczurów" w lewo wzgl. w prawo — tak, że nie może być żadnego powodu do skarg na temat faworyzowania pewnych strzelców itp.

Strzelcy stoją na 15 m od maszyn, zaś przed linią maszyn na ca. 20 m jest barjera, przed którą żaden rzutek nierozbity, nie śmie dotknąć ziemi.

Maszyny są tak nastawione, że rzutki lecą z a w s z e płasko, a strzelec widzi zawsze ich boczną, tj. mniejszą ścianę.

Dalsze utrudnienie stanowi t ł o, na którem się rzutki ukazują. Składa się ono z jasno - zielonego wału ziemnego, bronzowych wyrw i urwisk w samym wale, ciemno - zielonych koron drzew, za wałem rosnących, a w końcu z błękitu nieba, na którym ukazują się od czasu do czasu dymy z lokomotyw, niedaleko przebiegającej linji kolejowej. Utrudnienie to jest duże, bo oko na każdym tle inaczej dostrzega biały rzutek.

Sama strzelnica wraz z bardzo ładnym i gustownym pawilonem — jest urządzona z całym komfortem (sala dla kierownictwa, telefony, sala dla prasy, przechowalnia na broń, amunicję, stojaki na broń, a dla widzów krzesła i leżaki).

Jak już na wstępie nadmieniłem — dostarczyła — jak w latach ubiegłych P. W. P. Pionki amunicji w kal. 12, 16, i 20. gratis i ad libitum i to n a j l e p s z e j m a r k i. Łuski były najświeższej produkcji W. Sp. M. ze spłonką Gevelot „Sinoxid", proch: „Sokół", ten n a j l e p s z y z naszych prochów, a śrut również b. dobry wyrobu W. F. A. w Warsz. na Targówku.

Jak b e z k o n k u r e n c y j n i e d o s k o n a ł ą była ta amunicja, można najlepiej ocenić z faktu, że wystrzelano około 12.000 strzałów, bez żadnego zaciągu lub niewypału — oczywiście, gdy broń, głównie zamki i iglice były w porządku. O doskonałości amunicji świadczy dalej to, że na stadjonie w Szczęśliwicach, — jak już nadmieniłem — strzela się do rzutków nie bliżej, jak na 50 kroków, zwykle 60, a nawet 70 kroków; a mimo, że używano tylko śrutu Nr. 6 lub Nr. 7 — wedle gustu — to jednak trafione rzutki rozlatywały się w drobne kawałeczki, a to można osiągnąć tylko z b a r d z o dobrej broni i tylko b a r d z o d o b r ą amunicją.

Zawodników stanęło 70-ciu, strzelano 15. V. trenując, a 16—17 V. trwały same zawody. Strzelano od godz. 8 do 18 i to w dwóch klasach: A i B.

Do kl. A. należeli: a) zdobywcy nagród do rzutków w narodowych zawodach; b) posiadający złotą odznakę strzelecką do rzutków; c) zawodnicy, którzy w zawodach P. W. P. Pionki w r. 1935 i 1936 uzyskali pierwsze nagrody w klasie B.

Do kl. B. należeli wszyscy inni zawodnicy.

W kl. A. uzyskał 1. miejsce p. Wilhelm Ziegenhirte (Warszawa), który rozbił 92/100 krążków. Wartość tego zawodnika można najlepiej z faktu ocenić, że w przeddzień rozpoczęcia zawodów na tej samej strzelnicy, przy identycznych warunkach, trenował mistrz świata i chluba strzelectwa polskiego p. Jan Kiszkurno — i rozbił również taką samą ilość talerzyków.

W grupie B. przemówiła nareszcie po tylu latach uporczywego milczenia Małopolska — bo 1. miejsce zajął Małopolanin p. Jan br. Horoch, młody strzelec o doskonałej formie, u którego widać było przy b. dużym wrodzonym talencie także pilny, sumienny trening pod jakiemś fachowym kierownictwem. Rozbił 83/100 rzutki.

Mam wrażenie, że i między młodszą generacją strzelców Małopolski, znalazłoby się dużo talentów strzeleckich, któreby mogły wskrzesić świetne, dawne tradycje M. T. Ł.

Nie mogę pominąć milczeniem p. prof. Kurowskiego, który swoją doskonałą formą, ogromnym spokojem, a przede wszystkim bar-

dzo pięknem strzelaniem „z przyrzutu“ wzbudził ogólne uznanie. Dla wyjaśnienia muszę dodać, że na zawodach P. W. P. — jak zresztą na wszystkich innych analogicznych — ma strzelec prawo, najpierw broń do ramienia przyłożyć, a potem dopiero dać komendę do wyrzucenia rzutka. P. prof. Kurowski, który z powodzeniem brał przed wojną udział w b. ciężkich „matschach“ w Petersburgu — strzelał w ten sposób, że dopiero po komendzie „daj“! przykładał broń do twarzy, co jest ogromnem utrudnieniem. A jednak zdobył 67/100 krążków.

A teraz kilka spostrzeżeń i uwag odnośnie do broni.

Otóż istotnie poważne szanse ma tylko kal. 12 i to naboje „long“; najlepszym dowodem jest, że ani jeden zawodnik, posługujący się kalibrem 16. nie zdobył żadnej nagrody. Chcąc jednego dnia dać 100—200 strzałów, trzeba mieć „piżonierkę“ możliwie ciężką (3.20 — 3.50 kg. wagi), o długich lufach i pełnych czokach.

Bardzo ważną jest osada strzelby tj. „ujęcie“ (szyjka); mianowicie ci wszyscy, którzy strzelali ze strzelb o ujęciu „angielskiem“, mieli gorsze szanse; bo mając dać około 200 strzałów „longami“, należy unikać każdego niepotrzebnego wysiłku i w ogóle wszystkiego, coby mogło strzelca zdenerwować, a w szczególności wywołać bolesny refleks lub wprost fizyczny ból. To ostatnie może spowodować głównie odrzut, który najlepiej paraliżuje się, przyciskając prawą ręką broń możliwie silnie do ramienia — a to można łatwiej i z daleko mniejszym wysiłkiem uskutecznić, gdy broń ma ujęcie pistoletowe.

Również lepsze są długie lufy — bo pomijając większą regularność strzałów, dają one jeszcze ten awantaż, że huk strzału wskutek zmniejszonego „ciśnienia wylotowego gazów“ — jest dla ucha mniej przykry.

*

A teraz Drodzy sercu mojemu, a gnuśni Sludzy w Hubercie z Małopolski, nie bierzcie mi za złe i wybaczcie łaskawie, że sobie trochę na Was użyję, albowiem jestem to mojej wątrobie, jako choleryk winien!

Powiedzcie mi, — ale tak z ręką na sercu i pod wielkim, małym i średnim „chajrem“, jak mawia mój faktor Icuś Kwargelduft — gdzieście Wy byli, gdy Stadion w Szczęśliwicach grzmiał hukiem wystrzałów, jak gdyby bolszewicy po raz 2-gi następowali na Warszawę!?... Co?

A przecież, gdy Wam w ubiegłym sezonie i poprzednich zimowych wieczorach opowiadałem o zawodach P. W. P., to gorzały Wasze lica i serca (byliśmy właśnie po dobrej kolacji myśliwskiej) — świętym zapałem i przyrzekaliście „napewniaka“ zjawić się, „byle tylko na czas dowiedzieć się i nie przeoczyć terminu zgłoszeń“.

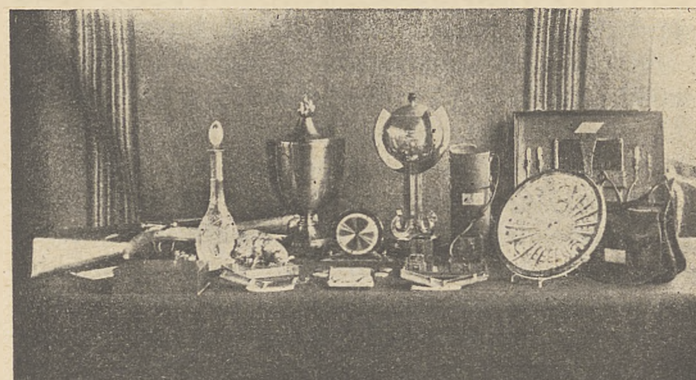
Gdy termin przyszedł — ileż kartek i listów nabazgrałem do Was, ile razy ustnie przypominałem, zachęcając niby Piotr z Amiens do wyprawy Krzyżowej! I cóż z tego? Nic! Gdzie Pan był Drogi Panie Jasiu? Pisze Pan, że asystował przy tarle! No! Akurat w Zielone Świątki?! A nie mógł Pana stary Kochan, który na stawach zęby zjadł — zastąpić?

A Pan, Panie Stanisławie? Taki strzelec! Czy Pan także akurat w te dnie tak namiętnie gospodarował? Przecież „pan śpi — a las rośnie“ — mówi stare przysłowie.

A Pan, Panie Magistrze Romciu?! Czy Akurat w Ziel. Świątki z mieczem Temidy w dłoni gromił Pan zbrodniarzy łopatyńskich? Żeby choć wnykarzy i kłusowników! Ale przecież na Zielone Świątki nawet ta bogini zamyka budę!

Czy myślicie, że p. Jaś br. Horoch sam jeden za Was, Małopolan, wystarczy?

Mógłbym jeszcze dużo takich opieszałych, kochanych Romciów, Stasiów itd., zacytować — ale toby i tak nic nie pomogło. Dlatego zwracam się do Was Piękne Małżonki swych Nicponiów! Spojrzyjcie na te nagrody! Np. ten kryształ! Ten puhar! Ten neseser! A takich nagród było w każdej klasie 12! Czy nie mam racji twierdząc, że Wasi „Mężowie-Władcy“ i... Pantoflarze nie zasługują na to, by być Waszymi małżonkami? Brak im tego co Włoch nazywa „brio“.



Posłuchajcie tedy dobrej rady! Dawajcie im... 3 razy dziennie Ovomaltiny — a może ujrzę ich od dziś za rok na zawodach, — a po zawodach Wy Piękne Panie owe chlubnie zdobyte nagrody na Waszych bufetach, konsolach itp., czego sobie i Wam życzę! Amen!

Św. Hubertowi cześć!



DUSZA ROTMISTRZA

Już się bolszewik Panie Rotmistrzu
na szablę ostrą twą nie uskarży —
ani proporczyk na lśniącej lancy
nie będzie trzaskać w szaleńczej szarży.

Już gór potęga nie zagrzmi echem
na twoje wielkie, książęce łowy —
w gronie myśliwskim ucichną śmiechy
w takt leśnej głuszy, wiekiem miarowy

i liść zerwany z samotnych regli
wiatrem rzucony w dali się skruszy;
w zakątku puszczy na mchu gdzieś legnie
z potęgą twojej łowieckiej duszy.

Tylko romantyzm cieni drzew starych,
zmierzchu purpury, porannej chłodzi
w blasku ogniska — myśliwskiej gwary
w młodych się sercach znowu odrodzi

Tylko szał słodki i war upojeń
przy pleśni głuszca na siwym mszarze
wpłynie w krew żywą nowych pokoleń
gdy święty Hubert wezwie z ołtarza

a twoja dusza Panie Rotmistrzu
wolna jak anioł w dale popłynie
i świat dzieciństwa wspomni odległy
na bujnej łanem zbóż Ukrainie

tylko się wzdrygniesz na strzał do zwierza
jak posąg, kiedy mistrz kończy dzieło —
lecz rana serca targnie cię świeża
i szepniesz cicho: „wszystko minęło!"

Pamięci ukochanego Redaktora
ALBERTA MNISZKA
Zbigniew Habdank-Czarkowski

JAROSŁAW HUBALEK

Cygan „Mykita".

(Dokończenie).

Traf chciał, że stary wyga, leśnik, dopuścił się karygodnego niedbalstwa, godnego chyba początkującego, młokosa. Bóg wie, skąd — liczył tylko na borsuka, choć myśliwy liczyć powinien zawsze na wszystko. Mógł wiedzieć i napewno wiedział, że borsuk, to ciężka robota dla psa czasem na całą godzinę, gdy tymczasem lis przy pierwszej sposobności, błyskawicznie wyskakuje z nory, i w ucieczce szuka ocalenia. Chyba sam djabeł szeptał leśnikowi, że w norze jest tylko borsuk, a nikt inny, dość że najspokojniej położył strzelbę, potem przywarł twarz do ziemi i słuchał psiego grania.

Cygan zdawna miał zwyczaj szybko się decydować. Nigdy się nie namyślał długo, jak inni mieszkańcy leśni, postanowienie miał gotowe w jednej chwili, a wykonywał je błyskawicznie. I nagle, w głównym wylocie nory, — tuż obok cholewy leśnika — mignął długi cień, a obaj pomocnicy naraz ryknęli „Lis — lis". Zerwał się na równe nogi leśnik, lecz nim chwycił z ziemi broń, nim dojrzał zbiega, ten już odsadził się na dobre sto kroków. Jeden śrut wprawdzie skrobnął go trochę po grzbiecie, ale to głupstwo! Drugi strzał nie miał wogóle żadnego sensu. Słowem — Cygan był ocalony.

Wypadł z nory zajadły Foks i głosem poszedł za śladem. Dobre trzy kilometry trwała pogoń, ale też Cygan po mistrzowsku umiał ją mylić! Przesadził potok, w kilku skokach był na wysokim brzegu, spuścił się po uboczu spowrotem, skoczył w potok, brodził nim pod prąd jakie pięćdziesiąt kroków, znów wyskoczył, strzepnął się, zakluczył parę razy, poczem wpadł w nieskończenie długi pas gęstwiny i wolniej już — szedł wciąż przed siebie.

W rodzinne strony wrócił dopiero po tygodniu. Udało mu się wtedy — to prawda — ale strachu najadł się do syta! Żeby choć minutę dłużej został był w norze, jak amen w pacierzu — futerko jego suszyłoby się już na strychu, naciągnięte na kliniastą deskę. Prawda, że cały personel leśny podziwiałby piękny okaz węglarza, ale Cygan nie był żądny takiego podziwu, wolał skromne życie, niż pośmiertną chwałę.

Szkoda jednak, że nie mógł słyszeć, co o jego szelmostwie opowiadano wówczas we wsi. Leśny przez całą drogę do domu spluwał i częstował się najsoczystszymi epitetami. Próżno próbował go pocieszać mały Foks. Co chwila obracał nań czarno - maskowaną główkę, jakby mu chciał powiedzieć: „Nic sobie z tego nie rób, kolego — ja też czasem głupstwo palnę! Pamiętasz, jak zeszłego roku — przez głupotę puściłem tego kota na płocie? A już go miałem w mordzie"!

Słaba pociecha! Co za kanalja! Żeby otrzeć się o mój własny but i zwiać... Poczekaj — mądralo! Jeszcze nie wieczór!

Istotnie nie był to jeszcze wieczór dla Cygana. Znów przybyło mu trochę doświadczenia i, jeśli tak pójdzie dalej, za dwa, trzy lata będziecie mieli w rewirze lisa z kompletnym uniwersyteckim wykształceniem i djabła wprzód zje ten, co jego futro napnie na deskę.

XIV. DALSZE TRYUMFY

Biały śnieżek polatuje
Srebrem kryje matkę - ziemię...

śpiewa poeta na widok pierwszych płatków, snujących się w zimnym powietrzu.

Zwierz leśny nie raduje się, nie śpiewa. Milczy. Nieświadoma młodzież lęka się, nie zna tego, boi się niebezpieczeństwa. Co to jest właściwie i na co jest ten śnieg? Do jedzenia? — nie! Zimne to, aż zęby cierpną. A ścieli się to — het — po całej krainie, resztki paszy zasypuje, i tak już skąpej.

W górach rosną z niego nowe góry. Każdy krok jest zdradziecki, odciśnięty wiernie; wróg nawet bez nosa wie, kto, kiedy i dokąd tędy przecho-

dził. Starszy zwierz, pamiętający zeszłoroczną zimę, rozmyśla o jej głodzie, biedzie, trudach w łowach i trudach unikania niebezpieczeństw. W lesie ruch zapanuje, nie powróci już dawny, błogi spokój. Z wiosek wylęgną gromady drwali z siekierami na plecach, z zębatemi piłami i zniszczą cały szmat gonnego lasu w kilka niedziel. Cmentarzysko ostatnie tam, gdzie dawniej ptak śpiewał w niebotycznych koronach. A ileż to dni głodu czeka leśnego zwierza, gdy zamieć śnieżna rozhula się na dobre, że nie sposób wyjść z zacisznego ukrycia? Gdy zaspy narosną, a woda zniknie z potoka, zniknie i z rzeki... Gdy zamiast niej znajdziesz jedno zwierciadło lodu,... a nie waż się nań nawet stąpnąć, bo i paść możesz i badyl złamać! Nie tu jednak kres twych utrapień. Stokroć gorszą ci będzie śniegowa skorupa. Nogi twej nie utrzyma, po brzuch zapadać się będziesz w sypki pod nią śnieg i spróbuj tak iść choć pół kilometra. Każdy krok twój to kropla krwi z okaleczałych nóg, a rany się nie goją, bo je wciąż odnawiasz. I w takiej chwili niech zawita do rewiru pies - kłusownik i pocznie szczwać biedną sarnę... Długo taki pościg trwać nie może!

Głód i głodowe choroby dopełniają miary nieszczęść. Dobrze jeszcze, gdzie jest dostatek miękiej, liściastej drzewiny, gdzie człowiek pomyśli o zasypach, karmiskach, snopkach niemłóconego owsa, kasztanach, żołędziach, czy garściach czerwonej jarzębiny, gdzie nie pożałuje trochę buraków, czy ziemniaków, lub tu i ówdzie obali starą osinę. Lecz ilu jest tych, co prócz kuli i śrutu mają i serce dla leśnego zwierza?

— Nadszedł dzień patrona św. Huberta, dzień uroczystej obławy na zające.

Śnieg leżał już w bukowych młodniakach, okrytych jeszcze uschłą, letnią szatą. Tu liść, w braku światła pod koronami starodrzewu, nie dojrzały jeszcze w jesieni, zmarzł na śmierć, lecz nie opadł. W takim liściastym gąszczyku i kota zastaniesz w kotlince, i spóźnioną słonkę i myszkującego lisa — słowem — niespodzianka na każdym kroku.

Zasłonięty od wiatru olbrzymią, na pół spróchniałą kłodą, odpoczywał tu sobie i nasz Cygan. Dotąd jeszcze miał w żywej pamięci owo fatalne spotkanie z psem w norze i stale nor unikał. Czyż tu, pod kłodą nie lepiej? Widok ma przed sobą otwarty, słyszy wszystko, najmniejszy szmer, a do ucieczki ma sto wolnych dróg!

Nagle, gdzieś nad sobą, usłyszał ludzkie głosy. Ani drgnął. Miarkował, skąd i dokąd ludzie idą. Przez gęste zarośla nie mógł ich wprawdzie dojrzeć, ale zupełnie wyraźnie słyszał, że kroki ich oddalają się. I choć po jakimś czasie nastała cisza, miał się wciąż na baczności. Legowiska jednak nie opuścił, wierny zasadzie, że spokój i uwaga więcej dobrego przynoszą, niż przedwczesna ucieczka.

W tem z dołu, od strony potoka, rozległ się znany mu dobrze krzyk naganki i uderzenia kijami o pnie drzewne, a echo ich rozbudziło drzemiący dotąd las. Wrzasnęły wylękłe sojki, z krzaka furknął skrzydłami — spłoszony jarząbek, a mądry kos żółtodzioby gwizdnął na towarzyszkę i oboje dali nurka w najgęstszy podrost. Wiewiórka poświęciła niedokończony orzeszek bukowy i baletowym podskokiem śmignęła w koronę drzewa. Nawet jastrząb, choć pożądliwym okiem śledził dotąd małą tancecznicę, wolał oddalić się ze sceny, niż wziąć udział w dramacie, na jaki się tu zanosiło. Pozostały tylko lekkomyślne sikorki i poważny dzięcioł, zajęty dobywaniem z pod kory tłustych larw drukarza. Snać instynkt im mówił o ich nietykalności.

Linja naganki zanurzyła się w gąszcz, wesołym „A-hu! A-ha"!, spędzając słodki sen z powiek zajęczych. Nawoływania to cichły, to potężniały, w miarę jak naganka mijała większe zagłębienia terenu, niekiedy pusty pień, uderzony kijem, huknął na cały las, niby murzyński bęben.

Nie widać nic w gęstwinie, lecz szeleszczą tu i ówdzie suche liście — zwierz się poruszył. Ot! tam — na małą haliznę wyskoczył wspaniały kozioł! Stoi jak wryty, jeno czarne nozdrza pracują nerwowo, a napięte mięśnie drżą z gotowości do błyskawicznego ruchu. Obok niego — koza ze sporem już koźlęciem. Szczęsna, niefrasobliwa młodości! Podczas, gdy rodzice wszystkiemi zmysłami badają najmniejsze drgnienie powietrza, aby się zorjentować, co i skąd zagraża głuptasowi i jak go z obieży wyprowadzić, on najspokojniej skubie krzak maliny, czy czarnej topoli. Skąd ten niepokój rodziców? Małoż to ludzie nakrzyczą się po lesie? — Wtem kozioł rzucił się naprzód — i to prosto na naganke. Koza przy nim, a za nią koźlę. Wrzasnęła na ich widok naganka, lecz wnet ścichła. Wiadomo — do sarn się teraz nie strzela! A one wciąż biegną — w zmienionym już porządku. Pierwsza, wyciągnięta jak struna, sadzi koza, za nią malec, a odwrót zamyka kozioł z jednym rożkiem na mądrej główce. Wczoraj, sam nie wie gdzie, zgubił drugi, a i ten spadnie mu lada chwila, strącony byle jaką gałązką.

Już są w przyległym lesie, cichym i bezpiecznym, ale jeszcze nie dowierzają, jeszcze idą dalej. A nużby po godzinie lub dwóch, miały się znaleść w nowym miocie i znów przeżywać ten sam strach? A nuż to nie będą myśliwi, którzy sarnę o tej porze respektują, lecz kłusownicy nie znający litości i prawa łowieckiego?

O trzy kroki przed Cyganem przekicał zając — wprost na linię strzelców. Ani przez myśl Cyganowi nie przeszło dobrać mu się do skóry, a mimo to ostrożnie pokłusował za nim, doprowadził do szerokiej przecinki, stanął i czekał. A zając — jak to zając — wyszedł na odkryte miejsce, dostał z lewej strony parę śrutów i zrulował.

Teraz Cygan już wiedział, co chciał wiedzieć. Wzdłuż linji zaczął się ostrożnie posuwać, kryty gąszczem. W paru miejscach próbował przedostać się przez linję — napróżno; albo krycia nie było, albo — gdzie było — tam stał strzelec. Już myślał, że przyjdzie mu zataić się w jakim dołku i dać się minąć nagance — ale i to na nic. Naganka idzie gęsto i kto mu zaręczy, że nie oberwie pałką od jakiego draba?

Niema co! trzeba się trzymać gęstwiny i próbować szczęścia na drugim skrzydle, i to coprędzej, bo naganka już nie dalej, jak o jakie sto kroków. Znów zając! Musiał zaspać, bo idzie całą parą — prosto na śmierć. W jednej chwili Cygan zawrócił i tym samym tempem skoczył za nim. Czyżby złakomił się na jego szeroki czomber? O nie! Ani mu to w głowie nie postało! Ale sadzi tuż — tuż — zerkając przytem na obie strony. Nagle — najwyżej dziesięć kroków przed linją — stanął jak wryty i puścił na przecinkę zająca samego. Szybko po sobie padły dwa strzały, a tuż po nich mignął przez dukt długi, czarny cień lisa. I zanim myśliwy zdołał wsunąć do komory naboje, Cygan odsadził się gąszczem najmniej pięćdziesiąt kroków od linji.

Stał się bohaterem chwili; po zejściu ze stanowisk tylko o nim mówiono. W gestykulacji niefortunnego strzelca nabrał rozmiarów gigantycznych, a chytrością przeszedł wszystkie znane i nieznane lisy.

Myśliwy zato był niepocieszony! „Do śmierci sobie tego nie daruję! Bo żeby dla głupiego zająca taką sztukę puścić... Takiego cudnego węglarza — jeszczem w życiu nie widział. Panie leśniczy! nie warto by było i na przyszłość go oszczędzić.... „My go też oszczędzamy“ — śmiał się leśniczy — „a najwięcej to — on sam się oszczędza — mądrala. I ma rację, bo niejeden, choćby chciał, nie wytrzyma na widok takiego futerka. Jedno tylko jest pewne — że szczwańiejszy on jest niż wszystkie lisy z całego rewiru, razem wzięte“!

Zajmowano kolejno następne mioty, podczas gdy Cygan odpoczywał o jakie pięć kilometrów. Poprzysiągł sobie na wszystkie combry zajęcze, że nigdy, przenigdy już nie będzie dowierzał najpiękniejszym nawet gąszczom. Niema to, jak wygrzewać się na jakiejś słonecznej skale, mając widok otwarty na wszystkie strony. A zwłaszcza w zimie, strzeż się, brachu, śniegu i własnych tropów i nie zagrzewaj nigdzie miejsca! Inaczej otropią cię, zamkną straszakami i — bywaj zdrów! Ludzie są ludźmi! Tysiące sposobów wymyślą na twoją zgubę i trzeba im przyznać, że czasami są pomysłowi. Całe szczęście, że w nocy nie widzą, a idąc narobią hałasu na dwieście kroków wkoło. No — i węchu wcale nie mają. Tylko te ich strzelby! Na nie niema innej rady, jak dobre nogi. Byle mądrze i byle w porę!

I mądrą tę maksymę wyrył sobie Cygan głęboko w pamięci. Gdy nie szło inaczej, uciekał, i temu częstokroć zawdzięczał ocalenie. Nie dał się zwabić ani w te, najlepiej zamaskowane żelaza z ponętną główką śledziową; i dopiero, gdy sojka zbytnią ciekawość przypłaciła życiem, najspokojniej ją uprzątnął, choć po sklapnięciu żelazka całe leżały na wierzchu.

Do tego stopnia nie dowierzał wszelkiego rodzaju przynętom, że i trucizną nie dało się nic wskórać. Zebrał kiedyś co do jednej wszystkie grzanki i zakąski, ale zajęczą głowę zostawił nietkniętą.

Stał się sławnym w całej okolicy nietylko dzięki wyjątkowej piękności futerka, lecz niezwykłej przebiegłości i odwadze. Leśnicy i myśliwi opowiadali sobie o nim niestworzone rzeczy, a jeden starał się prześcignąć drugiego bujną fantazją. Kto nie znał Cygana z widzenia, znał go z opowiadania, ale znał go każdy.

Najczęściej gościł go w swoim rewirze stary gajowy Dąbrawa. Nieraz gryzł cybuszek fajki i snuł misterne plany, jakby się temu łotrowi dobrać do skóry. Z jaką dziką rozkoszą sypnąłby mu przygarść śrutu! Dla przeżycia takiej chwili warto popracować głową i wymyśleć, koniecznie coś wymyśleć! Przecież — do stu djabłów — chyba ten Cygan nie jest mądrzejszy niż on, stary gajus, stary wyga?

Z podobnych rozmyślań wyrwało go kiedyś rozpaczliwe gdakanie kur i krzyk żony. Widząc ją, wybiegającą z kuchni z miotłą w ręku, porwał strzelbę, rzucił w kąt fajkę i skoczył na podwórze. Troszeczkę za późno... Przed chwilką byłby jeszcze ujrzał we wrotkach podwórka pyszną, czarną kitę z białym kwiatkiem. W dwóch skokach był stary przy płotku, lecz Cygan już migał mu się tylko w lesie — z najładniejszym kogutem w zębach. Było daleko, ale nie za daleko. Broń sama poleciała do oka — sekunda — i klap! — i jeszcze raz klap! Do krrrocset djabłów!... nienabita! Oniemniały ze wściekłości — rzucił Bogu ducha winną strzelbinę o ziemię i obiema pięściami pogroził Cyganowi. Mieląc w ustach najsoczystsze przekleństwa, jakie las kiedykolwiek słyszał, schylił się po starą przyjaciółkę - strzelbę... i.... zdrętwiał po raz drugi. Wściekły o to, że nie chciała strzelić z pustych luf, rzucił ją trochę za silnie, a że właśnie na wystający kamień, więc nic dziwnego, że jedna lufa już nie do strzału, głęboko wgnieciona.

Tegoż wieczora stary Dąbrawa topił zgryzotę w gospodzie, — a Cygan w tumanie pierza oblizywał smakowicie wąsy po luksusowej kolacji.

Pocieszył się dopiero stary gajus po paru dniach na wiadomość o tem, co spotkało pana leśniczego.

Wracał nad wieczorem ze swym czarnym jamnikiem Doksem z porębu, gdzie całą zimę pracowano nad wyrąbem podkładów kolejowych i opału. Zamyślony — nie zwracał uwagi na psa, tembardziej, że zmrok zapadał i trzeba było pospieszać. Mimowoli rzucił okiem w gęste podszycie piennego lasu i ujrzał długą, ciemną sylwetkę. Cygan! Broń do oka, strzał i bolesne „Auuu“! Biedny Doksik, zwabiony lisim tropem, zeszedł nieopatrznie ze ścieżki i oberwał za to parę śrutów w imieniu Cygana.

Tak tedy zemstę, zemstę straszną, bezlitosną i wieczną, poprzysiągł biednemu Cyganowi i sam pan leśniczy. Gdyby ją był Cygan słyszał, byłby albo skonał ze strachu, albo dobrowolnie złożył w ofierze i ekspiacji swą skórę. Na szczęście jednak nie słyszał, bo już był za dziesiątą górą i rwał posuwistym skokiem — byle dalej od miejsca, gdzie padł strzał. Po godzinie może — usiadł na zadzie i ze złością podrapał się za uchem. Coś go swędziało — ale co? Może pchełka — a może to ludzkie gadanie?

ZAKOŃCZENIE.

Wiatr hula po skałach, wyje w konarach drzew. Sądny dzień. Co chwila jakaś gałąź, lub cały czub stuletniego olbrzyma z trzaskiem i hukiem wali się w dół, a na ciele okaleczałego starca świeci biała rana i nigdy się już nie zagoi i nigdy nie przestanie świecić. Przyjdą deszcze i nowe wichry, naniosą przeróżnych grzybni i drzewo zacznie powoli zamierać, resztką sił i życia tucząc przybłędne pasorzyty.

Ziemia drży ze strachu w starym borze. To korzenie napięciem wszystkich mięśni trzymają się matki ziemi i bronią się. Czy się obronią? Nie wszystkie. Tam oto — pod szczytem — rozlega się głuchy łoskot! To pada potężny klon, druzgocąc nietylko własną koronę, ale i własne potomstwo, u stóp jego rozsiadłe.

Nieustannym atakom wichru najlepiej opiera się młodzież leśna. Jak poszycie szczotki, ręką gładzonej, zegnie się do samej ziemi, potem — niby stalowa sprężyna narówna się, by za chwilę ukorzyć się przed nową nawałnicą.

W dolinach, zasłoniętych od wiatru, stoją pospołu jelenie i sarny. Skupiona przy matkach młodzież, z lękiem spogląda na rozszalały żywioł zniszczenia. Nie ujrzysz nigdzie ptaka, ni w powietrzu, ni na gałęzi, czy na ziemi. A nasz Cygan? O! ten jeszcze wczoraj przeczuł onym szóstym, nienazwanym zmysłem, że się na dziś coś niedobrego zapowiada — i zawczasu zaszył się w norę. Nietylko jest bezpieczny, ale cieszy się w duchu z nawałnicy. Boć przecież nie-

jedna gałąź, padając, przygniecie jakiegoś zająca, a może i sarnę, — dla niego na późniejszą ucztę. Byle tylko gajowy siedział teraz w cieplej izbie — to o resztę mniejsza!

Ale gajowy siedzi w cieplej izbie, bo i czegóżby szukał po lesie w taką porę, a Cygan bezpiecznie drzemie w ciepłej norze. Śni o soczystym combrze zajęczym tak wyraźnie, jakby go już miał za zębie. A potem widzi starego gajusa i sprząta mu z przed nosa koguta... Że też ten dziadek nie strzela! Przecież ma w ręku strzelbę... Po chwili słyszy strzał. Skierowany był do niego, a trafił tego łajdaka, Doksa! Dobrze mu tak — po djabła tam lazł... Sam spasły, jak wieprzek — a drugim nie da żyć. Zdrajca! Ludziom służy!

Obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie, a Cygan niekiedy się uśmiecha, rusza łakomie wąsami, to znów szczerzy białemi kłami, a czasem bierze go chęć zaskomleć. Śpi syty i bezpieczny, a to się rzadko kiedy razem przytrafia. Śpi i śni o dalszych przygodach, o nowych niebezpieczeństwach, o nowych tryumfach i bliskich już godach weselnych, kiedy poczuje wabną, a słodką woń tropu tej czerwonej liszeczki, co ma mordeczkę ostrą, jak igła, a tak mile umie patrzeć słodkimi ślepkami na wybranego rycerza...

Nie budźmy go ze słodkich marzeń, z zasłużonego snu! Nie byle to sztuką i trudem jest wywijać się z przeróżnych zasadzek i ludzi i psów i strzec pięknego futerka przed kulą i śrutem, przed zębem psa, chwytem żelaza i jadem strychniny.

Kończę opowieść o Cyganie. Nie jest ona tak długa, jak szereg jego przygód, o których mi wiele jeszcze powiadały sojki, sikorki i dzięcioły, tropy na śniegu pisały, szemrały górskie potoki...

Tymczasem nasz bohater śpi. Nie wie, że jest sławny, że się o nim mówi i pisze. Nie dba o ziemską chwałę. Jest skromny, bo wie, że chwała mu nie pomoże w życiu, a raczej zaszkodzi. Nie budźmy go. Niech śpi i odpoczywa. A gdy wichry pociągną dalej, gdy polecą nad innymi ludźmi, innym zwierzem, innymi borami się znęcać, wstanie, wytknie czuły nosek na świat, nabierze wiatru i rozłoży go na atomy i pierwiastki, jak chemik swą mieszaninę.

Daj ci Boże — byś nigdy, o najdrobniejszy atom się nie omylił! Dla każdego twora leśnego przyjdzie niebawem nowe jaro — doczekaj go i ty! Wszak stoisz dopiero na progu życia, więc długie jeszcze lata noś zdrów swe piękne futerko! A gdy się kiedy spotkamy, pozdrowię cię ukłonem, ty zaś odpowiedz mi machnięciem pysznej kity — i nie bój się — na ciebie nigdy ognistego gada ze swej lufy nie wypuszczę.

Z Międzynarodowej Rady Łowieckiej
otrzymujemy, z prośbą o umieszczenie w „Łowcu", następujący

Komunikat

Ustalenie jednolitej formuły klasyfikacji trofeów przez Międzynarodową Radę Łowiecką.

Ujednostajnienie sposobów pomiarów trofeów łowieckich, które nie zawsze mogą figurować na jednej wystawie, a tym samym być przedmiotem bezpośredniego porównania, stanowi dla ich porównania i klasyfikacji niezaprzeczone korzyści, uznane od lat przez koła myśliwskie.

Od dawna proponowano liczne systemy jednolitego ocenienia przez znanych myśliwych i naturalistów i stosowano je nawet na międzynarodowych wystawach takich, jak wystawa we Wiedniu w roku 1910 i w Lipsku w roku 1930. Nie wymieniając innych systemów należy zacytować obmyślone dla jelenia: są to systemy Nadlera, inż. Dr. Karela Simana, Prof. Ignacego Dyka itp. dla rogacza, oprócz metody węgierskiej, systemy panów Biegera, Rubeski itp.

W Ameryce najbardziej znane były formuły Dr. L. Clark'a z Muzeum Narodowego historii naturalnej w Nowym Jorku.

Niedogodność wynikająca z tej wielkiej ilości formuł, z których żadna nie zdołała zapewnić sobie przyjęcia powszechnego, spowodowała, że oceny przeprowadzone na różnych wielkich wystawach łowieckich nie dadzą się między sobą porównać.

Z tego to właśnie powodu Międzynarodowa Rada Łowiecka, której Członkowie reprezentują 57 narodów, zadecydowała w r. 1934 na swej sesji w Warszawie, że należy wypracować przez komisję specjalistów jednolite i definitywne formuły pomiarów i oceny dla wszystkich gatunków grubej zwierzyny europejskiej.

Po trzech latach pracy, w ciągu której Sekretariat Generalny Międzynarodowej Rady Łowieckiej ustalił listę zwierząt, których części mogą stanowić trofea łowieckie, zebrał odpowiednie materiały pisemne i zasięgnął opinii najbardziej kwalifikowanych specjalistów, zgromadziła się wreszcie odnośna komisja w Pradze.

Komisja ta składała się z 46 członków, a wobec ważności sprawy przybył tam Prezydent Międzynarodowej Rady Łowieckiej p. Maxime Ducrocq, by osobiście kierować obradami, a przybyli również trzej jej wiceprezydenci: Książę Ratibor (Niemcy), hr. Colloredo-Mannsfeld (Austria) i hr. Bielski (Polska)*). Nie mogąc wymienić nazwisk wszystkich obecnych, nadmieniamy, że w obradach wzięli udział z Niemiec Prezydent „Der deutschen Jägerschaft" p. Scherping i pp. Bieger, Heck i Wild; z Austrii: hr. Abensberg-Traun, br. Sumaruga, pp. Vogt i Koller; z Belgii: p. Smet; z Danii: Wielki Łowczy de Vind; z Węgier: Wielki Łowczy Kiss de Nemesker, dalej p. Müller - Tesch z Luxemburgu, dyr. gener. Knothe, M. hr. Potocki i ks. Czartoryski z Polski, Wielki Łowczy Mosconyi i gener. dyr. Saulescu z Rumunii. Czechosłowację reprezentowali: gener. dyr. Dr. Karel Siman, radca Mayer i dr. Rubeska; Szwecję: inspektor lasów Kugelberg; Jugosławię: minister Zoricic i prof. Martinovic.

Rząd Czechosłowacki, chcąc godnie przyjąć taki aueropag, wybudował przy wystawie rolniczej w Pradze, specjalny pawilon z licznymi salami zebrań i z dużą salą, w której zgromadzono kilkaset sztuk trofeów różnych gatunków zwierząt, aby obradującym dać materiał do ocenienia różnych proponowanych systemów klasyfikacji trofeów. Po trzydniowych dyskusjach, często namiętnych, lecz utrzymanych zawsze w tonie wysokiej kurtuazji, zgodziły się komisje jednomyślnie głosami dwunastu reprezentowanych krajów europejskich, na propozycje, które zostaną przedstawione Międzynarodowej Radzie Łowieckiej do dyskusji na tegorocznej sesji plenarnej tejże Rady w Berlinie.

*) Prezes Bielski przewodniczył w sekcji, której zadaniem było ustalenie formuł ocenienia szabel dziczych, tudzież skór niedźwiedzi, wilków, rysiów i żbików. (Przyp. Red.).

Propozycje te obejmują wszystkie gatunki zwierząt europejskich, których części mogą stanowić trofea myśliwskie, z wyjątkiem rogacza i rena**), dla których nowe deliberacje podjęte zostaną jeszcze w przyszłości.

To porozumienie się zrealizowane pod auspicjami M. R. Ł. w sprawie nader trudnej, której załatwienie od wielu lat tentowano, stanowi wypadek ogromnego znaczenia dla świata myśliwskiego. Dyrekcja Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej, jaka odbędzie się w Berlinie w bieżącym roku, zawiadomiła natychmiast Prezydium Komisji, że nie oczekując definitywnych uchwał M. R. Ł. będą formuły, przez Komisję ustalone zastosowane już przy ocenieniu trofeów, które będą figurować na tej wystawie. W ten sposób wystawa berlińska zainicjuje ku zupełnemu zadowoleniu posiadaczy trofeów nową erę, w której trofea myśliwskie całego świata będą mogły być przedmiotem słusznej, a jednolitej klasyfikacji, bez potrzeby bezpośredniego ich porównywania.

Naturalnie, że przedmiotem najdłuższych i najbardziej gorących debat, była formuła klasyfikacji wieńców jelenich. Metoda ostatecznie przyjęta, zbliża się najbardziej do metody przestrzeganej na wystawach węgierskich, zawiera ona jednak pewne korektury, których potrzebę oddawna uznawano. Metoda ta zwiększa walory poroży, wyróżniających się wybitną koroną. Wprowadza też dobrze obmyślaną ochronę przed niebezpieczeństwem utraty wagi, pochodzącym z wyschnięcia rogów, jakiemu one z biegiem czasu podlegają, a to w ten sposób, że za podstawę będzie brana waga pierwotna, zamiast wagi aktualnej. Mianowicie poroża, które już figurowały na wystawach oficjalnych, zachowają zawsze mimo wyschnięcia przy ich ocenie taką wagę, jaką raz już u nich skonstatowano. Trofea zaś, które zostaną zdobyte w przyszłości i co do których ich właściciele będą się obawiać zmniejszenia wagi przed ich okazaniem się na pierwszej wystawie, będą mogły być na początku każdego roku i w każdym kraju ważone przez delegatów M. R. Ł. i będą odtąd zawsze oceniane z uwzględnieniem wagi, już raz u nich skonstatowanej.

tłum. A. S.

**) Jednak zdołano formuły i dla tych zwierząt uzgodnić do tego stopnia, że ocena i co do nich odbywać się będzie na wystawie berlińskiej, według zasad przez Komisję przyjętych. (Przyp. Red.).

Kącik humorystyczny

CO PIES POTRAFI WYPIĆ?

Komitet organizacyjny pokazu psów pod nazwą „Pani i pies“, otrzymał rachunek z Zakładów Wodociągowych Miejskich za 32 m³ wody, zużytej w ciągu 6 godzin, przez które trwał pokaz. Ponieważ wody doprowadzonej na miejsce pokazu używano wyłącznie tylko do pojenia psów, a tych było 120, wypada 266 litrów wody na psa, bez względu czy to był duży dog, czy też najmniejszy pekińczyk.

A to opoje!

Korespondencje

Z życia myśliwskiego w Samborze.

Dnia 28. kwietnia br. odbyło się doroczne walne zebranie członków Samborskiego Towarzystwa Łowieckiego przy udziale prawie wszystkich członków.

Ustępujący Wydział przedłożył wyczerpujące sprawozdanie ze swej działalności za rok 1936. Szczegółowe sprawozdanie przedłożyli Łowczy i Skarbnik. Po przyjęciu sprawozdań do wiadomości i po udzieleniu ustępującemu Wydziałowi absolutorium, przystąpiono do wyboru nowych władz na rok 1937.

Prezesem Towarzystwa wybrano p. Jana Opolskiego, wiceprezesa Sądu Okręgowego Łowczymi: pp. Ludwika Ekierta i p. Jana Kozbura.

Samborskie Tow. Łowieckie, którego działalność z roku na rok coraz szersze zatacza kręgi, przez stałe powiększanie terenów myśliwskich, nieraz z trudem zdobywanych, może być wzorem dla umiejętnej i racjonalnej gospodarki łowieckiej. Dbałość o zwierzynę, odpowiednia ilość dobrze płatnych strażników łowieckich, zawsze zgodne z etyką myśliwską postępowanie członków, dają gwarancję dalszego pomyślnego rozwoju Towarzystwa dla dobra łowiectwa.

Zaznaczę w końcu, że wszyscy członkowie postanowili zgłosić przystąpienie do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, przy czym jednak stwierdzono, że niestety nowo mianowany Łowczy na tut. powiat nie daje znaku życia i że dlatego cała organizacja szwankuje, gdyż inicjatywa zwołania zebrania, jak to się dzieje w innych powiatach, leży w jego ręku.

Bolesław Strzelecki

SPRAWY TOWARZYSTWA

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 19. czerwca 1937.

Przewodniczył Prezes Juliusz hr. Bielski, byli obecni wiceprezesi: W. hr. Gołuchowski, A. ks. Lubomirski i A. hr. Starzeński, członkowie Wydziału: Z. Gronziewicz, gen. W. Maryański, St. Pieńczykowski, Dr. E. Skowroński, prof. dr. A. Sołowij, inż. T. Sroczyński i prof. dr. W. Ziembicki, zastępcy: St. Longschamps i dr. K. Obmiński, wreszcie zaproszony dr. A. Sander.

Nieobecność usprawiedliwili: St. Jaśkiewicz, dr. J. Rozienkiewicz, inż. Z. Sander i A. hr. Zaleski.

Prezes zagajając posiedzenie w serdecznych słowach wyraził żal z powodu śmierci śp. Alberta Mniszka, długoletniego członka Wydziału i jego wiceprezesa, znakomitego znawcy spraw łowieckich, doświadczonego, długoletniego redaktora „Łowca“, a przez wszystkich ukochanego Towarzysza.

Przy sprawozdaniu kasowym przyjęto do wiadomości pismo P. Z. Ł. w sprawie zaległości M. T. Ł. do Związku z lat poprzednich i postanowiono uzgodnioną ze Związkiem, jego należytość bezwłocznie naraz wyrównać. Omówiono pismo Oddziału M. T. Ł., dotyczące stosunku finansowego tego Oddziału do Centrali Towarzystwa.

Omówiono wszystkie sprawy, stojące w związku z Walnym Zgromadzeniem.

Redakcję „Łowca“ powierzono dr. A. Sanderowi.

Mianowano podłowczym w powiecie gródeckim dodatkowo Huberta Hatta w Rodatyczach, a przyjęto rezygnację z takiej funkcji ze strony Teodora Kozicka w powiecie mościckim.

W poczet członków M. T. Ł. i P. Z. Ł. zostali przyjęci: Stanisław Amon (Przemyśl), Sándor Balázs (Jaworów), Inż. Bohdan Biliński (Jaworów), Władysław Breiter (Gródek), Władysław Chomów (Stanisławów), Jadwiga hr. Chrapowicka (Krosno), Dr. Eugeniusz Czechowicz (Mościska), Aleksander Cywiński (Brody), Witołd Dąbrowski (Stani-

sławów), Rudolf Dick (Gródek), Leopold Donhöffner (Krosno), Włodzimierz Dorosz (Horodenka), Emil Dreyer (Jaworów), Ludwik Dudziński (Jaworów), Helena d'Eberhardt (Krosno), Mieczysław Eminowicz (Jaworów), Józef Fedorec (Stanisławów), Ludwik Fedorowski (Lwów), Władysław Hakemer (Dolina), Hubert Hatt (Gródek), Kazimierz hr. Jabłonowski (Gródek), Mikołaj Jakubowicz (Kołomyja), Stanisław Kafel (Krosno), Fryderyk Keipper (Jaworów), Włodzimierz Kisiel (Brody), Antoni Kislinger (Tarnobrzeg), Aleksander Klimkiewicz (Stanisławów), Bolesław Kostkiewicz (Jaworów), Wilhelm Lewicki (Stanisławów), Stanisław Lipiński (Tarnopol), Stefan Liszko (Stanisławów), Józef Łazarewicz (Rawa Ruska), Kazimierz Łukowski (Stanisławów), Kazimierz Maternowski (Brzozów), Maksymilian Margulies (Stanisławów), Stanisław Marwicz (Krosno), Włodzimierz Ohacewicz (Stanisławów), inż. Adam Ożga (Złoczów), Adam Paszkowski (Krosno), Józef Plackowski (Stanisławów), Kazimierz Romański (Złoczów), Franciszek Schofer (Gródek), Hieronim Serwacki (Dolina), Michał Sonelski (Tarnopol), Józef Sowa (Buczacz), Andrzej Stańczyk (Przemyśl), Adam Świderski (Stanisławów), Józef Teresiński (Tarnobrzeg), Kazimierz Trzecieski (Stanisławów), Michał Wańca (Krosno), Karol Weisberger (Krosno), inż. Kazimierz Wiech (Łańcut), Stanisław Wodziński (Brody), Dr. Konstanty Wojewitka (Stanisławów), Stanisław Wyczesany (Krosno), Erwina Wyszkowska (Stanisławów), Jan Zakrzewski (Stanisławów), Edward Weisman-Zawidowski (Jaworów), Jan Zdzieński (Brzozów), inż. Mieczysław Zieliński (Gródek).

Inż. Sroczyński zdał sprawę z postępu prac około gromadzenia eksponatów dla wystawy berlińskiej.

DO CZŁONKÓW TOWARZYSTWA I PRENUMERATORÓW „ŁOWCA“.

Do niniejszego numeru dołączamy blankiety czekowe, na których ołówkiem uwidoczniono zaległość we wkładkach dla M. T. Ł. i P. Z. Ł. i w prenumeracie „Łowca“. Prosimy o bezwłoczne wyrównanie tych zaległości. W myśl bowiem uchwały Wydziału restanci we wkładkach zostaną w razie dalszej zwłoki skreśleni z listy członków, zaś zalegającym z prenumeratą zostanie wysyłka „Łowca“ z dniem 1. sierpnia br. bezwarunkowo wstrzymaną. Zaległości niewyrównane zostaną ściągnięte w drodze sądowej.

Notatki ołówkowe na blankietach czekowych zostały poczynione według stanu naszych ksiąg w dniu 20. czerwca br., co zaznaczamy dlatego, bo mogą zajść wypadki rozminięcia się przesłanych kwot z owymi „urgensami“ ołówkowymi.

Panów Łowczych prosimy, aby jednając nowych prenumeratorów „Łowca“, pobierali odtąd prenumeratę dopiero począwszy od 1. lipca, gdyż nakład „Łowca“ z pierwszej połowy br. do numeru 7. jest wyczerpany. Od numeru 8. powiększyliśmy nakład o 300 egzemplarzy. Będziemy się starali dostarczyć „Łowca“ od 1. stycznia br. i tym, którzy w ostatnich czasach wpłacili prenumeratę za cały rok 12 zł., gdyby to jednak nie było możliwym, to pieniądze przez nich wpłacone za I. i II. kwartał br., zostaną zakontowane na I. i II. kwartał 1938 r.

Organizacja myślistwa w powiatach

Oddział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie, zamianował na powiat Dąbrowski, wojew. Krakowskie:

Łowczym — Włodzimierza Hendricha, emeryt. Radcę Wojew. w Dąbrowie Tarnowskiej;

Podłowczymi — 1) Feliksa Jordana Stojowskiego, właściciela dóbr w Diamencie; 2) Stanisława Konopkę, dyr. dóbr w Szczucinie.

Na Walnym Zebraniu myśliwych powiatu Dąbrowskiego w dniu 16. VI. 1937 wybrano na członków Powiatowej Rady Łowieckiej:

1) P. Dr. Stanisława Sozańskiego, adwokata w Dąbrowie Tarnowskiej; 2) P. Władysława Sozańskiego, emeryt. Majora W. P. w Dąbrowie Tarnowskiej; 3) P. Adolfa Kisielewskiego, notariusza w Dąbrowie Tarnowskiej; 4) P. Tytusa Bzowskiego, właściciela dóbr w Borusowie.

Powiatowa Rada Łowiecka w Dąbrowie Tarnowskiej składać się będzie oprócz Łowczego i dwóch Podłowczych z wyżej wymienionych 4 członków.

Włodzimierz Hendrich
Łowczy powiatowy

W myśl § 50—54 Statutu Polskiego Związku Łowieckiego, zwołuję Walne Zgromadzenie Powiatowe Członków tegoż Związku, zamieszkałych w powiecie kosowskim na dzień 3 lipca 1937 r., godz. 11-ta w sali Rady powiatowej, z następującym porządkiem obrad:

1) Zagajenie i wybór sekretarza;
2) Omówienie statutu P. Z. Ł.;
3) Wybór Powiatowej Rady Łowieckiej;
4) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie;
5) Wnioski w sprawie gospodarki łowieckiej w powiecie.

Inż. Oskar Friser
Łowczy opwiatowy

SPROSTOWANIA.

W numerze 6. na str. 92 w pierwszej szpalcie we wierszu 27 od góry ma być: „wybrzuszenia“, a nie „wykruszenia“.

W numerze 6. na str. 97 w pierwszej szpalcie w 6 wierszu z góry ma być: „jakby rzec można“, zamiast „jakby więc można“.

W numerze 7. na str. 111. w artykule „Jeszcze o zarazie zajęczej“ we wierszu 6 z dołu, ma być: „baccillus pestis“, a nie „banillus“. W tymże artykule, w jego 12 ustępie na str. 112 ma być: „pewnych danych“, a nie „dawnych“.

W tymże numerze na str. 109 w pierwszej szpalcie we wierszu 20 od dołu ma być: „9.3 X 72 R.“, a nie „9.9 X 72 R.“.

TREŚĆ NUMERU 8:

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Alfred Sander. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia EDWARDA ZIMNEGO, Lwów, ul. Szajnochy 2., tel. 221-35.